

Sceniczny trzeci obieg

TEATR TRZYRZECZE Przemysław Wojcieszek robił kiedyś mocny polityczny teatr. „Polska krew” nie ma jednak nawet ułamka siły „Made in Poland”. To tylko doraźny kabarecik

Jacek Wakar, Polskie Radio

Pierwszy raz jestem w Trzyrzeczu w budynku dawnego kina Tęcza na warszawskim Żoliborzu. Świetnego „Blackbirda” Harrowera widziałem gdzie indziej. A teraz dodatkowy spektakl „Polskiej krwi”, połowa sierpnia, środek tygodnia. Mimo to sala wypełniona po brzegi, ludzie okupują schody i przejścia. Po mieście poszedł chyr, że Wojcieszek zrobił opozycyjne przedstawienie, że wykrzyczał ze sceny wszystko, o czym inni boją się mówić szepcem. Publiczność reaguje więc na zasadzie uczestnictwa we wspólnym proteście, jakby spektakl był teatralną wersją marszu sprzeciwu.

To jest w porządku. Każda władza powinna mieć swoich krytyków wśród artystów, niektórzy twierdzą, że bycie przeciwników władzy powinno być paradygmatem każdego twórcy.

Przed laty dobitnie przekonywał o tym sam Przemysław Wojcieszek, gdy powołał do życia Bogusia o twarzy Eryka Lubosa, łysej głowie i z „fuck” wytatuowanym na czole. Boguś rozbił bejsbolem samochody na osiedlu, a my niemalże wierzyliśmy, że to się dzieje naprawdę. A potem dostawaliśmy wstrząsającą opowieść o Polsce poza nawiasem, bez szans i nadziei. W tym roku Wojcieszek wrócił do Legnicy, aby zrealizować tam „Hymn narodowy”, ostro komentujący dzisiejszą wojnę polsko-polską. Tego przedstawienia nie widziałem, znam jedynie tekst. Przenikliwością nie powala, ale być może scena daje mu nowy wymiar.

Scena kompromituje za to bez reszty „Polską krew”. Rozumiem, że Wojcieszek chciał walnąć między oczy, ale czy musiał powielać najbardziej banalne stereotypy? Oto działacz młodzieżówki PiS, prezesa ma za duchowego ojca. Jego żona

antysemityka, na blogu śledzi wrogów narodu. Serialowy aktorzyzna, biegający na demonstracje KOD, aby być modnym i spotykać dawne narzeczone. Jego dziewczyna, uwielbiająca seks i gadanie o demokracji, choć nie bardzo wie, o co chodzi. Za to wysyła designerskie wieszaki do pani premier. No i panienka z Izraela, która daje na prawo i na lewo, a przy okazji wygłasza objawione prawdy o Polakach. Bo patrzy z oddali.

Wojcieszek nie wyreżyserował relacji między nimi, nie poustawiał nawet najbardziej podstawowych sytuacji. Uznał, że załatwi wszystko motoryczną muzyką i nieustannym ruchem, ni to tańcem, ni biegiem. Aktorzy zatem wyciskają z siebie siódme poty, nie zauważając, że wszystko truchta do ośmieszenia. W „Polskiej krwi” nie ma diagnozy, obserwacje sprawdzają się do żenady (inteligenci z KOD przesiadują w klubokawiarniach, ci z PiS wierzą świę-

cie w linię partii). Wszystko zaś podszyte jest dobrym samopoczuciem autora i reżysera, któremu zdaje się, że odnalazł patent na siebie. Będzie artystą opozycyjnym i może to uczyni z niego męczennika. Nie uczyni, bo „Polska krew” nie powtórzy sukcesu „Made in Poland” ani „Osobistego Jezusa” z Legnicy. To w gruncie rzeczy amatorski spektakl trzeciego obiegu. Co nie znaczy, że Trzyrzecze zrobiło źle, doprowadzając do premiery. Może jedynie na taki protest teatr nas dzisiaj stać?

Broniłbym tylko Ewy Jakubowicz w roli fanki wieszaków. Młoda aktorka wyrasta zdecydowanie ponad resztę obsady. W dyplomach Akademii Teatralnej pracowała z Mają Komorowską i Marcinem Hycnarem, potem była Julią w jego inscenizacji tragedii Szekspira w Teatrze Słowackiego w Krakowie. Po pannie Capuletti postanowiła dotknąć teatru bieżąco innego i dała radę. Dla niej to mogło być ciekawe doświadczenie. ©P

„Polska krew” | reżyseria:
Przemysław Wojcieszek | Teatr
Trzyrzecze w Warszawie ●●

